

Niewidzialna bariera — Kazjuno

Od autora: Przepraszam Czytelników nieszczególnie interesujących się tenisem. Obawiam się czy dla Was - Szanowni Czytelnicy - podana przeze mnie duchowa strawa będzie jadalna.

Chociaż?...

Prawdę mówiąc, pisząc, bardzo chciałem w taki sposób pisać o tej dyscyplinie sportu, żeby Ci - Szacowni Czytelnicy - którzy mają gdzieś tenis - raczyli nie wrzucić mego opowiadania do kosza (przyciskając klwisz Esc).

Więc swoim zwyczajem rozlałem co nieco krwi, wpuściłem dwie seksi laski i mogłoby się to wydawać sztucznym zabiegiem, gdyby nie miało pokrycia w przeszłości - czyli życiu autora.

Wcale nie picuję, że byłem boyfriendem super laski, która miała słabość do kieliszka i dwóch jegomości przez nią wyłapało po buziuchnach.

A co? Może nie wierzycie, że nieświadomą pocieszycielką, po bolesnym rozstaniu z super laską, była Ela Kaczyńska? Kuzynka Jarosława Kaczyńskiego i jego św. pamięci brata Lecha? Także była wyjątkowo urodziwa i opisany z nią romans jest prawie jota w jotę wspomnieniowym autentycznym.

Zresztą papierową wersję tego opowiadania zamierzam przekazać Prezesowi PiS do rąk własnych.

Nie tak dawno chciałem zdobyć rzymski adres pięknej Eli. Piechotą udałem się na ulicę Czerwonego Krzyża na Powiślu, gdzie pod numerem 4 mieszkała ONA. Pytałem starszych sąsiadów. Niektórzy pamiętają urodziwą blond-girl.

Ech, co tu gadać. Takiego kształtnego biustu to nie miała nie żyjąca już wałbrzyska pozeraczka męskich serc, przez którą waliłem obsztyfikantów po mordach.

Nie wykluczam, że opowiadanie się niektórym spodoba.

Jestem bardzo ciekaw Waszych - Przemili Czytelnicy - opinii.

Miłego czytadła, Kj

Kazimierz Junosza

Niewidoczna bariera

Wprowadzenie

Przełamanie bariery psychologicznej to określenie spotykane w terminologii sportowej. Lecz nie tylko. Wielu z nas przełamuje słabości hamujące nasz rozwój. To uskrzydla, dodaje pewności siebie i poprawia samopoczucie. Ponieważ w tej opowieści będzie najwięcej o tenisie, przytoczę przykład pokonania subiektywnej niemocy z tej eleganckiej dyscypliny sportu.

Przez wiele lat po wojnie brakowało w Polsce światowej klasy tenisisty lub tenisistki. Posucha trwała od czasu przedwojennych sukcesów Jadwigi Jędrzejewskiej, która w roku 1938 dotarła do wimbledońskiego finału, co powtórzyła dopiero wspaniała Agnieszka Radwańska w dwudziestym pierwszym wieku. Poza Jędrzejewską, na przedwojennych europejskich kortach rozślawiali polski tenis gracze jak: Hebda,

Tłoczyński i Skonecki. Jednak żaden z nich nie zdobył światowej sławy. Także po wojnie na europejskich tenisowych arenach pojawił się bardzo dobry tenisista Wiesław Gąsiorek. Rzadziej w zachodniej Europie występowały także utalentowani: Tadeusz Nowicki, jego klubowy kolega Jacek Niedźwiedzki, czy później świetny Wojtek Kowalski. Wspomniani gracze mieli ograniczoną możliwość konfrontacji z profesjonalistami z za „żelaznej kurtyny”. Nie mogąc się ogrywać z najlepszymi, tracili do nich dystans, nie byli w stanie rozwinąć skrzydeł. Polski Związek Tenisowy, jak większość sportowych związków, był nasączony esbecką i wojskową agenturą. Dla powiązanych ze służbami wywiadowczymi szefów peerelowskiego tenisa powstałoby zapewne więcej problemów niż korzyści, gdyby zaczęli wydawać dewizy na graczy swobodnie wojażujących po krajach kapitalistycznych. Za posiadającą magiczną moc zachodnią walutę, mogły ich pozyskać agentury kapitalistycznych wywiadów.

Tenisistą, któremu udało się wystrychnąć na dudka, rzucające mu kłody pod nogi władze komunistyczne i po czterdziestu latach od przedwojennych sukcesów Jędrzejewskiej zrobić karierę na światowych kortach, został Wojtek Fibak. Mimo że był wybitnie utalentowany, związek tenisowy odmówił mu finansowania międzynarodowych występów. Własne oszczędności zaryzykował jego ojciec znany poznański lekarz i w 1974 roku wyłożył pieniądze na eskapadę syna, na turniej do Barcelony. Niestety, Polak w pierwszej rundzie wylosował pojedynek z aktualnym mistrzem Wimbledonu Amerykaninem Arturem Ashe'm. Zanosilo się na załamanie kariery Fibaka. Nie sądzę, żeby Wojtek wierzył w pokonanie światowej sławy mistrza. Nie wiem, co zachęciło młodego tenisistę, by przed meczem wejść do szatni aktualnego tryumfatora Wimbledonu. Może pomyślał, że nawiąże znajomość, która zaowocuje w przyszłości? Może chciał sprawdzić swój angielski?

- My name is Wojtek Fibak, I'm going to play with you the next round^[1] – przedstawił się krzywo na niego patrzącemu Ashowi.

- Where are you from? – zapytał Amerykanin.

- From Poland.

- Does anybody play tennis in that cave? – z ironią zapytał słynny tenisista.

Ponizony Polak, wychodząc na kort, był wściekły. Nagromadzona w nim sportowa złość sprawiła, że odniósł sensacyjne zwycięstwo. Przełamał psychologiczną barierę, dokonał wyczynu teoretycznie niemożliwego. Ta wygrana utorowała mu drogę do międzynarodowej kariery, dzięki której stał się jednym z nielicznych, słynnych na świecie Polaków.

Przez boks i rozrywkową piękność

W Szczawnie Zdroju od dziecka mieszkalem koło kortów, kiedyś pragnąłem zostać tenisistą. Niestety... byłem patałachem. Nie umiałem tak dobrze obserwować tenisowej piłeczki, jak kopiący codziennie futbolówkę koledzy. Ci szybciej rozwijali tenisowe umiejętności. Do tego brakowało mi sprawności i siły. Bawiliśmy się z bratem głównie w wojsko. Byliśmy też piromanami, usiłującymi ze zmiennym szczęściem konstruować ręczne granaty. Mimo że nie udało się na oczach kolegów wysadzić prochową miną kolejowych torów, ich akceptację zapewniły inicjowane przez nas wybuchy. Raz, kiedy grałem na ulicy w palanta, nastąpiła w moim pokoju eksplozja, wyleciały z okien szyby. Przerażony, rzuciłem się biegiem do domu. Z pokoju, którego okna wyglądały jak ślepe oczodoły, wydobywały się kłęby dymu. Wiedzia-

łem, że w środku był brat. Chyba nie żył, myślałem oszalały ze strachu. Na szczęście odwrócony był plecami do pozostawionego na stole ładunku, obok zapomnianego, tłącego się lontu. Podmuch rzucił go twarzą na łóżko.

Sopot zawsze był dla mnie magicznym miejscem. Gdy byłem dzieckiem, przyjeżdżałem do cioci i kuzynki na wakacje z rodzicami oraz bratem. Nie będę jednak opisywał przygód z dzieciństwa. Skrótowo opowiem, jak w tym modnym nadmorskim kurorcie znaleźliśmy z bratem inspirację, żeby intensywnie trenować boks. Byliśmy nastolatkami i w tamtym czasie młodzież przyjeżdżającą na wakacje terroryzował gang miejscowych chuliganów. Byli schodzącymi na drogę przestępczą bokserami, należącymi do klubów pięściarskich Trójmiasta. Wtedy ja i brat też zaczynaliśmy przygodę z boksem. Jednak baliśmy się tych zabijaków. Na naszych oczach, nokautującymi ciosami przyprawiali swoje ofiary o stany zbliżone do objawów śmierci klinicznej. Raz widzieliśmy rzuconego na chodnik siłą ciosu chłopaka, który doznał drgawek nóg, wyglądało, jakby konał. Bali się ich wszyscy. Zaniepokojeni rodzice, po przeczytaniu artykułu w *Głosie Wybrzeża*, kategorycznie zażądali, abyśmy wieczorami nie wychodzili z domu. Przeraził ich tytuł: *„Gang kilkudziesięciu młodocianych przestępców terroryzuje młodzież przybyłą do Sopotu na wakacje”*.

- Nie chcę tego słuchać – przeciwstawił się brat Radek. – Wcale się ich nie boimy. Co mamy ze strachu załatwiać się w gacie? Zresztą to sportowcy i są już naszymi kolegami – odezwał się do przerażonej matki.

Oczywiście nie wspomniał, że nas też chcieli pobić, ale kiedy postawiliśmy dwa razy alpagi[2], to się z nami zaprzyjaźnili.

Naszych nowych koleś szanowali nie tylko młodociani kryminaliści. Z szacunkiem odnosili się do nich warszawscy złodzieje, gdyńscy i gdańscy alfonsi i cinkciarze, bali się ich uzbrojeni ormowcy.

Poczułem się dumny i bezpieczny, kiedy obronił mnie Witek Wielgosz – mistrz Trójmiasta w wadze półciężkiej. Bez wahania podszedł do grożącego mi pobiciem osiłka z Warszawy. Niecałą sekundę po głośnym kłaśnięciu, spowodowanym trafieniem warszawiaka lewym sierpowym w szczękę, rozległ się przerażający trask. To ofiara ciosu Witka wpadła plecami wraz z wielką taflą stłuczonej wystawowej szyby do kawiarni „Pawilon”, sąsiadującej z młodzieżową tancbudą Non – Stop, gdzie spędzaliśmy wieczory przy muzyce Niebiesko Czarnych. Rozległy się piski przerażenia. Pomyślałem, że Witek warszawiaka zabił. Prawie przez minutę znad okiennego parapetu w stronę Non – Stopu, wystawały buty ofiary nokautującego ciosu. Gdyński cinkciarz Pluma, lubiany przez sopockich bokserów za poczucie humoru, pochylił się nad stopami leżącego.

- Nosi numer czterdzieści trzy – oszacował jego obuwie jak szewc biorący miarę. – Można mu na obstalunek zrobić nowe glany[3]. Pokazał numer butów. – Pokiwał głową z udawanym uznaniem, wywołując wybuch szyderczego rechotu zdeprawowanych bokserów.

Trzy lata później zaproponowałem Witkowi towarzyski sparing w rękawicach. Chyba był bez formy, bo odmówił.

- Co szumisz do Sopociaka? – nie spodobało się to innemu uprawiającemu boks chuliganowi.

Niewybrednym słownictwem zażądał, żebym wyjechał z Sopot. Również nie przebijając w słowach, powiedziałem mu, żeby się wypchał. Wyciągnął mnie na podwórko na solówkę, na gołe piąchy. Udało mi się go trafić prawym sierpowym. Wywrócił się i nie mógł wstać, wygrałem przez efektowny nokaut. Tak ja przełamałem p s y c h o l o g i c z n ą b a r i e r ę. Nabrałem pewności siebie.

Mając dwadzieścia lat, już jako instruktor, prowadziłem zajęcia na bokserskim obozie kondycyjnym. Rok później na kolejnym. Podczas tych sportowych zgrupowań po raz pierwszy się ze mną liczone, byłem kimś ważnym.

Przyjemność z gry w tenisa zasmakowałem podczas drugiego obozu. Po porannych biegach prowadziłem podopiecznych na opuszczone tenisowe korty. Graliśmy tam w piłkę nożną, znalazły się stare tenisowe rakiety i kilka piłeczek poszarzałych ze starości. Wysoko wygrywałem z bokserami. Kręcił się też koło kortów chłopiec, twierdzący, że jest tenisistą. Pokonałem i jego. Wtedy zdałem sobie sprawę, że od czasów dziecińczych bardzo podniosłem sprawność. Byłem dobrze wybiegany. Teraz, kiedyś trudne do opanowania forhand'y i backhand'y, zaczęły wychodzić.

Siedem lat trwała przygoda z boksem, po czym wypadłem z bokserskiego środowiska.

Powód?

Na otrzęsinach, na politechnice, kulturysta – znany podrywacz – zaczął pić alkoholem piękną dziewczynę, która przyjechała do mnie z Wałbrzycha. Byłem w niej zakochany, ogarnęła mnie zazdrość.

- Nie będziesz jej upijał – powiedziałem zdenerwowany, kiedy postawił przed nią tacę pełną kieliszków z wódką.

Doszło do sprzeczki, wałnąłem prawym sierpowym i połamałem mu szczękę. Dostałem wyrok w zawieszeniu, wyleciałem z polibudy. Wtedy urwał się kontakt z boksem.

Nie układało mi się z wałbrzyską pięknnością, była hedonistką świadomą posiadania rzadko spotykanej urody. Miała przy tym słabość do kieliszka. Brylowała w lokalach rozrywkowych, a tam jako dziewczyna obdarzona przez naturę wyjątkowym seksapilem, stanowiła atrakcję dla dancinowych donżuanów. Do dzisiaj jest dla mnie zagadką, co mogło ją łączyć z kapitanem Służby Bezpieczeństwa. Wiem, że wzywano ją do wałbrzyskiej komendy milicji.

Starałem się jej pomóc w matematyce, by skończyła szkołę. Pewnego zimowego wieczoru zadzwoniła szczęśliwa, że zdała w szkole wieczorowej półroczny egzamin.

- Zapraszamy cię z Andżelą na wódkę – wymieniła także ładną i atrakcyjną koleżankę. – Spotkajmy się w Zdrojowej – zaproponowała.

Kiedy wypiliśmy po pierwszej setce, podszedł do naszego stolika postawny mężczyzna w sportowej marynarce i golfie. Nie miałem pojęcia, że jest oficerem bezpieki. Poprosił moją dziewczynę o chwilę rozmowy na osobności. Siedziałem z jej koleżanką, paląc jednego za drugim papierosa. Widząc moje zdenerwowanie, Andżela próbowała mnie uspokoić. Zbierała się we mnie złość. Podniosłem się z krzesła i zobaczyłem, że Ewusia – tak miała na imię moja miłość – siedzi rozbawiona w gronie mężczyzn, obok te-

go tajniaka. On kojarzył mi się z porucznikiem Borewiczem, bohaterem komunistycznego serialu „Zero siedem, zgłoś się” gloryfikującego milicję obywatelską. Z wieszaka zdjąłem płaszcz i szybkim krokiem opuściłem zatłoczoną knajpę.

- Zaczekaj! – krzyknęła za mną Ewusia.

Wybiegła przed Zdrojową, a za nią wyskoczył „Borewicz”. Zaczął ciągnąć ją za rękę. Szybko podbiegłem i... bach!

Jakieś dwa tygodnie później zobaczyłem go przez okno. Facet, którego uderzyłem, szedł w mundurze kapitana milicji. Otworzył furtkę i skierował się na ganek mojego domu. Chwilę potem esbek pokazał matce zaświadczenie ze szpitala, wiedział, że jest lekarką. Ponoć rozbitą szczękę kurował dziesięć dni. Na szczęście pewnie nie sprawdził mojej kartoteki, a miałem wyrok w zawieszeniu (za bójkę na polibudzie). Chyba dlatego wyciągnął od matki jedynie kwotę w wysokości półrocznych jej dochodów. Wtedy się załamałem. Postanowiłem opuścić dziewczynę i Wałbrzych.

Do pisarstwa przez tenis, łopatologię i cinkciarstwo

Wyrzucony ze studiów, odsunięty od boksu, z dala od dziewczyny, o tenisie przypominałem sobie w Sopocie. Przyjęła mnie samotnie mieszkająca ciotka. (Jej córka – kuzynka – wyszła za mąż, za słynnego aktora i pracowała w Warszawie jako dziennikarka). Byłem przygnębiony, a na pewno nie poprawiła mi samopoczucia podjęta praca u prywaciarza budowlańca. Na popołudniowym spacerze znalazłem oddaloną od centralnego kortu treningową tenisową ścianę. Odbijając wieczorami o nią piłkę, zacząłem doskonalić uderzenia. Zrezygnowałem z pracy na budowie, kiedy zaczęło się robić cieplej. Aktywność sportowa poprawiała mi samopoczucie, oprócz ćwiczeń na ścianie tenisowej biegałem wzdłuż plaży, aż do Orłowa robiąc bokserkie marszobiegi.

Chwilami, gdy moje soczyste uderzenia odrywały od ściany kawałki zielonej farby, puszczałem wodze fantazji: „może mógłbym się załapać na garnuszek wyczynowego tenisisty”?

Władze sportowe w Peerelu i w innych krajach należących do kremlowskiego imperium posuwały się do manipulacji. Żeby propagować na świecie przewagę systemu socjalistycznego nad kapitalistycznym, stosowały ukryte zawodowstwo. Wyczynowcy zajmowali się wyłącznie treningiem. Oficjalnie byli zatrudnieni w zakładach pracy, lecz zamiast pracować, jedynie chodzili na treningi. Na światowych arenach wypadali lepiej od rywali, którzy zajmowali się sportem przeważnie po pracy. W Victorii, moim klubie bokserkim, kopalnia płaciła pięściarzom tak zwaną stawkę dołową, równą pensji otrzymywanej przez ciężko harujących pod ziemią górników. Przypomniał mi się Wachenek – jeden z bokserów. Mimo że miernota, niezasłużenie pobierał dołową pensję. Nie szanowali go bokserzy. Raz na treningu wypadła mu ze spodenek chusteczka.

-Wachenek! – krzyknął na niego kolega boksujący w półśredniej. – Wyleciała ci wata z pizdy!

Przeciętniak zdemaskowany został przypadkowo, okazał się donosicielem kopalnianej komórki bezpieczeństwa.

Z mrzonek o ustawieniu się jako tenisista z pensją „wyczynowego sportowca” wyleczył mnie w Sopocie piętnastoletni dobrze ograny młodzik. Przegrałem „rowerem” – co w żargonie tenisowym oznaczało porażkę w dwóch setach do zera. Byłem amatorem, a takimi wyczynowcy pogardzali. Podobnych do mnie pasjonatów ignorowali reprezentanci klubów, którym wypłacano pensje za udawanie amatorów. Mogli się zgodzić, by potrenować z takimi jak ja, ale za pieniądze. Zabawiali się, grając z amatorami zakłady o wysokie stawki.

- Prowadzisz w secie pięć do zera. Wygrasz gema, masz seta i wygrywasz zakład – zachęcał mnie raz cwany wyczynowiec. – Ale zagramy o pięć stówek.

Korciło mnie, żeby spróbować, ale nie zgodziłem się. To było dużo pieniędzy. Szybko skalkulowałem, że skoro zlał mnie do zera juniorek, to żadnych szans nie mam z półzawodowcem. Mimo przegranej z piętnastolatkiem nadal przykładałem się do tenisa. Chciałem grać lepiej. Powoli zdobywałem doświadczenie w grze na punkty.

W lipcu otrzymałem list od brata. Napisał, że moja miłość – piękna Wałbrzyszaneczka Ewusia – przez którą nie mało wycierpiałem, związała się z naszym kolegą z dzieciństwa. On we wczesnej młodości zapowiadał się na bardzo dobrego tenisistę, później także boksował. Nie mogłem zapomnieć, jak pękając ze śmiechu, ośmieszał mnie i brata na korcie. Teraz był wyjątkowo przystojnym mężczyzną. Przed miesiącem, po pięciu latach wyroku za uprawianie bandytyzmu, opuścił mury więzienia. Eksperymentalny kryminal w Szczypiornie opuścił jako BIX – czyli w nomenklaturze więziennej, chodząca doskonałość. U Bixa wszystko musiało być „NAJ”. Najlepsze poczucie humoru – on, Potężna siła ciosu – on (oczywiście wraz z umiejętnością bicia się na pięści). Umieśnienie i imponujący wygląd – on. Na pewno też był NAJlepszym kochankiem i myśl ta szczególnie mnie dołowała. Wkrótce otrzymałem od niego list – rodzaj eseju, pełnego znakomitych porównań i metafor, na temat więziennego życia. W końcu listu pytał, czy nie mam żalu, że rozkochał w sobie moją byłą dziewczynę. *„Myślę, że się znowu zaprzyjaźnimy. Radek mówił, że trenujesz tenis, chętnie bym z Tobą zagrał. Siemanko, do zobaczenia w Szczawnie”* – zakończył list.

Byłem zdruzgotany, coś tam mu odpisałem, nawet pochwaliłem jego literackie umiejętności. Wtedy jeszcze nie pomyślałem, że ten jego list zainspiruje mnie do pisania.

Matka z ojcem wywierali presję, żebym wznowił studia. Interweniowali u dziekana wydziału architektury. Rektor politechniki postawił warunek: powinienem pójść do pracy fizycznej i przedłożyć zaświadczenie, że solidnie wywiązywałem się z robotniczych obowiązków. Parę tygodni później znalazłem się w Warszawie. Kuzynka załatwiła mi pracę na budowie. Szybko się zaprawiłem do dźwigania worków z cementem, szufłowania piasku do betoniarki i innych robót. Nie traktowałem pracy poważnie. W kieszeni nosiłem tenisową piłeczkę, z którą udawało mi się wymykać do pustych jeszcze pomieszczeń w budynkach z wielkiej płyty. Ćwiczyłem, bijąc w piłeczkę otwartą dłonią w roboczej rękawicy. Uderzona odbijała się od ściany, wracała i waliłem ponownie. Tych odbić były dziesiątki i setki. Czasem robiłem gimnastykę, by wzmocnić siłę po kilkadziesiąt pompek, do tego zwyczajowo walkę z cieniem.

Pierwsze cinkciarskie doświadczenia zdobyłem dwa lata wcześniej. Niezłe mówiłem po francusku, dogadywałem się po angielsku. Zaczepiałem więc cudzoziemców bez zahamowań. Popołudniami, modnie ubrany i ogolony, wyruszałem przeważnie na Nowy Świat, spacerowałem po Krakowskim Przedmieściu, zaglądałem do parku łańienkowskiego. Dyskretnie podchodziłem do zachodnich turystów, proponowałem wymianę dewiz na złotówki. Udawało się kupować i sprzedawać franki, dolary, i inne waluty. Zarabiałem dodatkowe pieniądze.

Mieszkałem wtedy na Żoliborzu u jednej z dalekich ciotek. Trójka jej dzieci solidnie zakuwała na studiach, młodsza, cierpiąca na nadwagę Marusia była wzorową uczennicą. Nikt z domowników nie dbał o wygląd. Nie dość, że prezentowali się niechlujnie, wszyscy byli nudni jak flaki z olejem i do tego napuszeni. Patrzyli na mnie z politowaniem jak na przybłędę. Zastanawiałem się, co ich zmuszało, by mnie tolerować? Czy bardziej zasady dekalogu, czy nakaz ciotki – siódmej wody po kisielu – która musiała ich przekonać, że jestem moralnym dnem. Chyba wykoncypowała, że obecność w jej domu pomoże mi wyjść z życiowego bagna. Kiedy despotycznej ciotce zaproponowałem sprzedaż dolarów po korzystnym kursie, wpadła w panikę.

- Skąd je masz? – zapytała oburzona. – Mów prawdę, mam nadzieję, że nie handlujesz nielegalnie dewizami.

- Kupiłem – odpowiedziałem z irytacją. – Co, wierzy ciocia w komunistyczną sprawiedliwość? Nie widać ciocia, że kremlowscy sługusi okradają nas na każdym kroku?

Spojrzała na mnie, mrużąc ze złością oczy.

- Jesteś durniem, zgnijesz w więzieniu – syknęła ze złością. – Twoje idiotyczne politykowanie to usprawiedliwianie przestępczego procederu.

„Co za głupia krowa” – zdenerwowałem się w myślach.

Dzień później postanowiłem zrezygnować z jej gościnności, od razu poczułem ulgę. Już dwa lata wcześniej, kiedy po raz pierwszy kręciłem walutą, moim marzeniem było, dostanie się do wieżowca Riwiera – akademika warszawskiej polibudy. Na sezon letni dom studencki zamieniano na międzynarodowy hostel dla zagranicznych turystów, przeważnie studentów. Udało mi się tam zameldować dzięki studenckiej legitymacji z podrobioną datą ważności. Nie codziennie, ale oczywiście biegałem po piętach i wymieniałem złotówki na walutę. Przez mój dwuosobowy pokój przewijali się różni współlokatorzy. Mieszkałem z Gruzinem, przez jakiś czas ze Szwedem, był też Francuz i Kanadyjczyk. Tak dorobiłem się nowej rakiety, sportowej torby i dwóch puszek czeskich piłek. Po pracy zacząłem jeździć na korty Agrykoli, tam była treningowa ściana.

Już w Sopocie, w wolnych chwilach czytałem książki. W Warszawie wpadła mi w ręce powieść Jack'a Londona „Martin Eden”. Było dla mnie oczywiste, że słynny pisarz zawarł w powieści elementy autobiograficzne. Niemało miejsca poświęcił opowieściom o zmaganiach z materią literacką. Dużo było o jego burzliwym życiu i niespełnionej miłości.

Siedziałem przy kawie na tarasie Supersamu na Placu Unii Lubelskiej, kiedy w trakcie czytania ogarnęły mnie dreszcze. Przypomniał mi się pełen efekciarskich opisów list od Bixa. Nie miałem żadnego planu na dalszą część życia. Wcale nie tęskniłem, by wznowić studia. „Mam w sobie coś z Martina Edena” – przyszło nagle do głowy. „Może mógłbym zacząć pisać”? – pomyślałem. Jeden za drugim, zaczęły mi się rodzić pomysły uzasadniające przyjęcie pisania jako sposobu na życie. Wprawdzie w szkole byłem z polskiego miernotą, ale nie lubiący mnie wychowawca raz zadał jako pracę domową napisanie opowiadania. Pomysł mnie zachwyił. Zdecydowałem się opisać zamach na Kutscherę, kata okupowanej Warszawy. Polonista, który później przyczynił się do wyrzucenia mnie ze szkoły, przy całej klasie pogratulował udanego opowiadania. Przypomniałem sobie, że kiedy byliśmy z bratem dziećmi, snuliśmy nawzajem przeróżne opowieści. Potem potrafiłem wymyślać historyjki, którymi zabawiałem kolegów. Przypomniałem sobie, jak zarykiwali się ze śmiechu, kiedy opowiadałem o sąsiedzie, przedwojennym ziemia-

ninie handlującym poniemieckimi samochodami. Zatrudniał fachowca, który malował zardzewiałe karoserie, a w zbutwiałe drewniane szkielety robił zastrzyki z gipsu, żeby przy trząśnięciu zamykanych drzwi nie sypało się próchno. Kiedy indziej rozbawiałem towarzystwo opowieściami o skąpstwie naszej babci i zabawnej sytuacji na jej pogrzebie. Udałem chrapiącego w czasie opuszczania trumny mecenasa, przyjaciela rodziców. Zademonstrowałem, jak pchnęła go żona, by złożył kondolencje mojemu ojcu, a on zamiast wyrazów współczucia, życzył zdrowia i długich lat życia.

Czułem roznoszącą mnie radość. „Mam o czym pisać! Stworzę znakomite opowiadania i powieści”! Kupiłem dwa bruliony, nowy długopis i ołówek.

Nie przejmowałem się nijakimi efektami pierwszych prób. Czasem spodobało mi się jakieś napisane zdanie. Mimo że tworzenie szło opornie, nie opuszczało mnie dobre samopoczucie. Byłem pewien, że się rozwinę jako pisarz. Nie dopuszczałem myśli o fiasku nowego pomysłu na życie. Bruliony zapełniałem zamasytym piśmem, powstawało coś w rodzaju pamiętnika.

Mam nową dziewczynę

Prawie codziennie chodziłem do klubu studenckiego Hybrydy. Tam przez jakiś czas spędzałem wieczory w towarzystwie pary Szwedów. On był lekarzem, ona pielęgniarką w moim wieku. Początkowo czułem się z nimi świetnie. Słuchaliśmy dobrej jazzowej kapeli, która grała na zmianę z dyskdżokejem puszczającym do tańca światowe przeboje. Piliśmy czerwone wytrawne wino Gellala i po kilku wspólnych wieczorach nastąpił moment, kiedy zacząłem się w ich towarzystwie czuć niedobrze. Seksowna pielęgniarka zaczęła się do mnie przytulać w tańcu, byłem wyposzczony, więc mimowolnie się podniecałem. Parę razy, kątem oka zobaczyłem złe spojrzenie patrzącego na nas zazdrosnego lekarza. Atmosfera robiła się nieprzyjemna, postanowiłem przestać się z nimi widywać. Popołudniami dłużej przesiadywałem na kortach Agrykoli, wróciłem do wieczornego czytania książek.

Kiedy zobaczyłem piękną blondynkę, na chwilę mnie zamurowało. Pojawiła się jak zjawia na dyskotecę w Riwierze. Odniosłem wrażenie, że tak ładnej dziewczyny nie widziałem od dawna. Była w towarzystwie niższego od siebie krępego młodzieńca. Musiałem dostać wytrzeszczu oczu, bo kiedy spojrzała w moją stronę, najpierw zrobiła zdziwioną minę, potem się przyjaźnie uśmiechnęła. Poprosiłem ją do tańca i od razu zapytałem, czy jest związana uczuciowo z facetem, z którym przyszła.

- Ty drżysz, nie obawiaj się, to mój kolega – odpowiedziała.

- Jeśli drzę to na pewno nie przed twoim kolegą – powiedziałem. – Jestem bokserem i byle kogo się nie boję.

Spojrzała na mnie chłodno. Poczułem, że dotknęła ją moja przechwałka oraz uwaga na temat jej towarzysza wieczoru. Tańcząc jakby zeszywniała. Przed chwilą nie wzbraniała się, kiedy przyciągnąłem ją do siebie. Mimo że znaliśmy się nie dłużej niż minutę, przytulona kołysała się do rytmu, jakby tak właśnie wypadało tańczyć z chłopakiem, którego akuratnie poznała. Lecz teraz, po pierwszej wymianie zdań, się odsunęła. Pomyślałem, że zraziłem ją do siebie. „Tak szybko miałbym zakończyć znajomość z tą piękną dziewczyną”?

- Przepraszam. Drżałem, bo mi się bardzo podobasz – wypaliłem szczerze. – Mam nadzieję, że mi wybaczysz niefortunną przechwałkę.

- Dobrze, przyjmuję przeprosiny. – Nie przyłgnęła do mnie ponownie, ale uśmiechnęła się zalotnie. – Naprawdę ci się podobam? – zapytała z udawanym niedowierzaniem.

Późnym wieczorem, po odprowadzeniu jej pod dom na ulicę Czerwonego Krzyża, całowałem się z nią pod bramą. Następnego dnia zaprosiłem ją do Hybryd. Kiedy tańczyliśmy wolniejsze utwory, obejmowała mnie za szyję. Po przejściach z wałbrzyską pięknnością trudno było mi uwierzyć w raptowny zwrot w życiu uczuciowym. Czyżbym miał nową dziewczynę? Co ważne blondynka była nie mniej piękna i nieuzależniona od kieliszka.

W czasie popołudniowych i wieczornych spotkań dużo rozmawialiśmy. Nie chciałem jednak wtajemniczać jej w detale swojego życiowego impasu. Kiedy się pochwaliłem, że moja kuzynka jest żoną znanego aktora Tadeusza Łomnickiego, zrewanżowała się.

- Ja też mam kuzynów, którzy wystąpili w filmie. Moi bracia cioteczni to bliźniacy. Grali w filmie „O dwóch takich, co ukradli księżyc”.

Nic mi nie mówił tytuł tego filmu. „Wymienia jakichś nieznanych bliźniaków” – pomyślałem i zrobiło mi się jej żal. „Chwali się grającymi w filmie dzieciakami. Kim oni są w porównaniu do sławnego z wybitnych ról wspaniałego aktora”? Nie mogłem wówczas nic wiedzieć o przyszłości Kaczyńskich.

Po paru latach już o nich mówiono, Kaczyńscy zostali doradcami Lecha Wałęsy – niewielu się wtedy domyślało, że był TW Bolkiem. Później zostali znanymi na świecie politykami. Jednego z nich, prezydenta Polski, zamordowano w Smoleńsku.

Kończył się sierpień, były to ostatnie dni mojej pracy. Ustaliłem z ciocią, że na wrzesień zjadę do niej, do Sopotu. Zamierzałem nad morzem próbować sił w pisaniu i grać w tenisa. Z Elą Kaczyńską – bo tak się nazywała blondynka – widywałem się codziennie. Chodziliśmy na długie spacerunki, dużo rozmawialiśmy. Siadaliśmy w ogródku przy kawiarni, w parku łazienkowskim. Moja nowa girlfriend okazała się znakomitym wabikiem, ułatwiającym mi dewizowe transakcje. Jej seksapil przyciągał spojrzenia zachodnich turystów. Widząc koło mnie wystrzałową dziewczynę, chętnie nawiązywali rozmowę. Popisywałem się znajomością zachodnich języków, a oni wymieniali na złotówki nieskromne zasoby portfeli. Podczas drugiej transakcji zobaczyłem, jak gruby Francuz na widok Eli spąsował. Może pomyślał, że jestem jej alfonsiem, a ona oferowaną na sprzedaż prostytutką? Następnego dnia umówiłem się z nią na kortach Agrykoli. Tam próbowałem się wznieść na wyżyny sztuki odbijania piłką o tenisową ścianę. Wpadłem w amok, rozlegały się głośne odgłosy uderzeń i... coś strzeliło w rakiecie, zerwałem strunę.

- Nieźle ci idzie – skwitowała.

- Poszła mi struna, a chciałem cię uczyć, grać w tenisa...

Sopot przywitał mnie zimną słoneczną pogodą i sztormowym wiatrem. Kiedy opuściłem kolejowy dworzec i znalazłem się na Monciaku^[4] dotarły grzmoty, rozbijających się na plaży fal. Było po sezonie, lecz snuło się jeszcze trochę letników. Na środku deptaku, koło kina Bałtyk zobaczyłem siedzącego przy

stoliku mężczyzną w ciemnych okularach i skórzanej marynarce. Z lewej i prawej strony omijali go idący w kierunku mola spacerowicze. Twarz faceta szpeciła szrama, biegnąca przez połowę policzka. Wyglądał na gangstera. W opinającej mięśnie skórzanej marynarce, do złudzenia przypominał francuskiego aktora Jean'a Reno – odtwórcę głównej roli w filmie „Leon zawodowiec”. Będąc moim rówieśnikiem, wyglądał na starszego o dziesięć lat, lecz mimo to prezentował się imponująco. Zza czarnych szkielek skanował przechodzących letników z pogardą. Jakby chciał im powiedzieć w nos: „co się pierdoleni frajerzy gapicie”? Od razu go poznałem. To był kolega z lat szczenięcych, były mistrz Wybrzeża juniorów w wadze półciężkiej, postrach przyjezdnych chłopaków, Witek Wielgosz. Na stoliku stał przed nim kieliszek z niedopitą wódką i leżała paczka Marlboro oraz popielniczka. Chyba mnie poznał. Przez moment pomyślałem, żeby podejść i się przywitać. Kiedyś mnie obronił przed masywnie zbudowanym Warszawiakiem. Znokautował go lewym sierpowym. I to jak efektownie! Trzask rozpryskującej się szyby w kawiarni „Pawilon”, kiedy Warszawiak wpadał do środka lokalu, wydawał się głośniejszy od wszystkich pirotechnicznych wybuchów, jakie robiliśmy z bratem.

Tak, wypadało się przywitać. Jednak się wahałem. Byłem już może pięć metrów od stolika Witka, kiedy pochylił się nad nim jakiś szemrany typpek. Mógł być złodziejaszkiem albo chłopcem na posyłki. Coś powiedział, na co sopocki gangster poderwał się ze stolika i nie bacząc na letników, wyprowadził firmowy lewy sierpowy. Nie był mierzony w szczękę, a w ramię mętnego typka. Huknęło, jakby ktoś z całej siły uderzył trzepaczką w zwisający dywan. Siła ciosu rzuciła faceta parę metrów w bok, omal go nie wywracając.

- Coś ty? Za co mnie bijesz? – jęknęła ofiara, oddalając się w popłochu.

Nie zatrzymałem się, minąłem jego stolik. „Po co dokonał tej demonstracji siły”? „Czy była to skierowana do mnie pogroźka”? Może chciał przekazać informację: „co już mnie uważasz za śmiecia? Zobacz, jakbym go puknął w brodę, to można by liczyć do miliona”. Nie miałem jednak wątpliwości: przekaz był skierowany do mnie.

Pisanie nad morzem szło opornie, właściwie mi nie wychodziło. W Sopockim Klubie Tenisowym wymieniłem naciąg rakiety na nowy i całą frustrację z powodu marnych poczynań pisarskich wyrzucałem na korcie. Gra pozwalała zapomnieć, że jestem życiowym bankrutem. Korty stały się rodzajem azylu. Tam nieźle się czułem wśród tenisistów grających rekreacyjnie, wśród tak zwanych, amatorów. Przeważnie byłem od nich lepszy i czując tę przewagę, unikałem pytań: „kim jestem i co robię”? W tym światku królował temat tenisa, a rozmowę potrafiłem poprzeć przykładem, bo coraz lepiej ruszałem się po korcie. Tak poprawiałem sobie samopoczucie. Chciałem odbijać z coraz lepszymi, a tych wśród amatorów brakowało. Obijałem głównie ścianę, na dłuższą metę to jednak nużyło. Wtedy wołałem już przebijać z najgorszym patałachem. Gra na korcie stwarzała różnorodne możliwości, a strzelając piłkę, do której nie dobiegał przeciwnik, doznawałem złudzenia, że osiągam wyczynowy poziom. Jednak mając po drugiej stronie siatki słabeusza, odechciewało się przykładać do gry.

Wieczorem postanowiłem przerwać pisarski impas. Wsadziłem za pasek dzinsów brulion i zasłoniłem, kupioną w Warszawie na targu przy Skaryszewskiej bluzą Lee. Do kieszeni wetknąłem długopis i zaostrzony ołówek. Ruszyłem na Monciaka z myślą, żeby stworzyć opowiadanie. Gotowy produkt zaplanowałem dać przepisać na maszynie i jedną z paru kopii wysłać do warszawskiej blond piękności. W Żłotym Ulu, przy stoliku na półpięterku, zamówiłem kawę i zacząłem pisać o sprzedaży auta Hanomag. Przypominałem sobie jak sąsiad ziemianin, noszący szlachecki tytuł Watta przed nazwiskiem Skrzydlew-

ski, wiozł nas dzieciaków, tym rozklekotanym kabrioletem przez wieś Strugę. Samochodem – pewnie kiedyś służbowym pojazdem gestapo – i dokonał masakry kur, rozjeżdżając kilka, kiedy przebiegały przez drogę. Dawno temu opowiadałem o tym kolegom – zarechotali, kiedy demonstrowałem poczynania zrozpaczonego przedwojennego szlachcica, podczas próby zatrzymania rozpędzonego gruchota. Jak drapiący się pies, gryziony przez pchłę, szybkimi ruchami nogi wielokrotnie naciskał pedał hamulca. Pompując hydrol, usiłował podnieść ciśnienie w przewodach hamulcowych, by auto raczyło stanąć. Hamulce nie działały. Rozległ się wrzask rozjeżdżanego drobiu, a zdegradowany przez komunistów do roli małego kombinatora właściciel ziemski, na widok wybiegającego z zagrody chłopca z widłami, dodał gazu. Najzabawniejszy miał być opis sprzedaży pozbawionego hamulców pojazdu. Starłem się pisać wyraźnie, ale przybywało skreśleń i wreszcie czytając rękopis po raz któryś z rzędu, uznałem wycpiny za nieudane. Wściekły wyrwałem z zeszytu zapiski i rozglądnałem się za koszem. Przedemną stała niezadowolona kelnerka.

- Zamykamy – powiedziała. - Jest pan ostatnim konsumentem.

Obóz kondycyjny i pierwsze opowiadanie

Wymarzonego partnera do tenisowego treningu spotkałem nazajutrz. Aplikowałem sobie przedpołudniową porcję tenisa na ścianie, gdy obok pojawił się on. Przypomniałem go sobie, należał do wyczynowo trenujących w klubie juniorów. Grał efektownie i dynamicznie. Miał mocną sportową sylwetkę i twarz o rysach przypominających amerykańskiego aktora Paula Newmana. Lubiłem go, bo wiosną, kiedy byłem smutasem, przybitym skutkami romansu z rozrywkową Wałbrzyszką, poodbijał ze mną na korcie. Jednak pod koniec maja mnie rozczarował. Byłem świadkiem, jak na juniorskim turnieju zbierał baty od nieznanego chłopca z innego klubu. Przyglądałem się zza krzaków, przez siatkę ogrodzenia, by nie widział, że oglądam jego tenisową katastrofę.

Walił przy mnie w ścianę i jego soczyste uderzenia klaskały bezlitośnie, zrywając gdzieniegdzie tynk i odsłaniając ceglany mur. Trochę dziwne, że nie grał w tenisowym stroju. Zamiast spodenek miał obcisłe, tandetne bermudy z pretensjonalnie, jak u dzinsów, naszytymi kieszeniami. Uderzeniom, od razu starałem się nadać większą moc i co mnie rozczarowywało, zdałem sobie sprawę, że biję słabiej od tego marnego zawodnika.

(Dobrych zawodników, prawie nigdy, nie widziałem trenujących przy ścianie). Zawziętem się i zacząłem dawać z siebie wszystko. Wtedy wydało mi się, że mu dorównuję. Zaproponowałem grę na korcie. Od razu się zgodził...

Nie tylko nie potrafiłem z nim wygrać, nawet nie nawiązałem walki. Byłem wściekły. On, zadowolony, komentował swoje zagrywki krzykami.

- Doskonale! Dobrze! Ale mi wyszła lufa!

Przegrałem z tenisową mizerotą... i to w jakim stylu, skoro w dwóch setach zdobyłem tylko jednego gema. Następnego dnia, o dziwo, ponownie zgodził się na wspólny trening na korcie. Grało mi się lepiej.

- Grasz wyczynowo w klubie? – zapytałem, po grze.

- Taaak – przeciągnął niepewnie. – Ale ostatnio miałem przerwę, bo przez sierpień pracowałem na kolonii – dodał wymijająco.

- Ile masz lat? – zapytałem.

- Siedemnaście.

- Eeeee, to mógłbyś jeszcze pograć – podnosiłem go na duchu, w istocie przekonując siebie, że gdybym był tak młody, to z pewnością załapałbym się na „wyczynowca”.

- Niedługo, pod koniec września, będziemy mieli wewnątrz klubowy turniej. Jakbym zajął jakieś lepsze miejsce?... – powiedział, jakby przeczytał moje myśli.

W jego wypowiedzi czuć jednak było brak wiary. Mówił cicho ze spuszczoną głową, jakby odbiorcą jego słów miała być kortowa mączka.

Wtedy, nagle, olśniła mnie idea. Przecież nie tak dawno byłem bokserskim instruktorem, szkoliłem chłopaków. A teraz? Przecież cały wrzesień przeznaczyłem na tenis. Poza grą z lepszym od siebie on też mógłby skorzystać. Obozy kondycyjne wspominałem jako najfajniejsze wydarzenia w życiu. Może z Jakiem Bociem – bo tak się nazywał mój partner – powtórzę tamte dni?

- Słuchaj Jacek, mam propozycję – powiedziałem. – Jak chcesz, to mogę cię przygotować do tego turnieju.

Spojrzał na mnie zdziwiony. Szybko zacząłem tłumaczyć, jak to kiedyś byłem obiecującym bokserem, ale przez studiowanie nie miałem czasu na poświęcenie się bokserskiej karierze. Za to byłem dobrym szkoleniowcem i teraz przez analogię do boksu, mógłbym mu pomóc wzmocnić kondycję, która jest fundamentem w każdej dyscyplinie sportu.

Boć patrzył na mnie z niedowierzaniem, trochę nieufnie. Chyba jednak porwałem go bardziej entuzjazmem przechwałek, niż argumentami o boksie, którego zdaje się, nie lubił. (Może posmakował twardej pięści któregoś z miejscowych chuliganów albo nawet nadepnął na odcisk samemu Witkowi Wielgoszowi/?/).

Chyba nie miał wtedy konkretnych planów, dlatego roztaczanie przed nim wizji, że mógłby przejść na uprzywilejowany chleb „wyczynowego tenisisty”, było wodą na młyn jego frustracji.

Zrobił poważną minę.

- No, dobrze możemy spróbować – powiedział z wahaniem.

Zanim rozstałem się z Elą Kaczyńską, namawiałem ją na przyjazd do Sopot.

- Jak przyjedziesz, zafunduję ci pokój w Grand Hotelu. Stać mnie na to – chełpiłem się spuchniętym dzięki cinkciarstwu portfelem.

- I co? Mam robić za przynętę przy twoich waluciarskich geszeftach? – zapytała wtedy uśmiechnięta.

Nie wiedziałem, czy ona żartuje, czy mówi na serio. „Może powinienem zaproponować jej udział w zyskach” – pomyślałem. Zamiast tego, kiedy spodobała się jej w Cepelii kuchenna deska do krojenia z malunkiem krowy trzymającej w pysku kosz z kwiatami, zrobiłem jej skromny prezent. Bardzo się ucieszyła. Już przedtem powiedziała, że jest sekretarką w dziekanacie Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego i na urlopie była w pierwszej połowie lipca.

Jeszcze poprzedniego dnia, pisząc o ponemieckim Hanomagu, chciałem do listu, do Eli dopisać prośbę, aby jednak wzięła parodniowy urlop i dojechała do Sopot. Teraz jednak, po deklaracji Bocia, że chce, abym go poddał kondycyjnej obróbce, jej przyjazd byłby kłopotem.

Gdy wróciłem do cioci na obiad, czekały na mnie dwa listy. Jeden od pięknej Kaczyńskiej, drugi od Bixa, kochanka mojej dramatycznej wałbrzyskiej miłości.

Ela zachęcała mnie, żebym jednak wracał na studia. Nie wyznała wprawdzie miłości, ale napisała, że bardzo tęskni. Pytała, kiedy wrócę do Warszawy. Zdenerwował mnie natomiast list od kolegi z dzieciństwa. Obrzydliwy wydał mi się opis stosunku z moją byłą dziewczyną. „Czy ten kretyn nie domyśla się, że jeszcze nie do końca wygasły moje do niej uczucia”?

„Proszę Cię, jak najwięcej mi o niej napisz. Ta utracjuszka jest kapryśna i sobie z nią nie radzę, pomóż mi znaleźć klucz do jej psychiki” – pisał.

„Wała! Nic ci nie napiszę, męcz się jak ja” – pomyślałem ze złością.

Podarłem list na drobne strzępy, w obawie, by nie przeczytała ciocia.

Wieczorem znowu ulokowałem się na piętorku kawiarni Złoty Ul. Zły na Bixa, zacząłem opisywać jego tenisową karierę. O dziwo układałem zdania, z których byłem zadowolony. Udawało mi się szkicować opowieść o chłopaku, który chcąc na skróty osiągnąć sukces, musiał wylądować w kryminale. Wyszedłem z Ula po raz pierwszy z nadzieją, że napiszę wreszcie opowiadanie. Bardzo byłem ciekaw, czy spodoba się blond Warszawiance.

Praca z Bociem zaczęła się nazajutrz o siódmej rano. Spotkaliśmy się na plaży niedaleko kortów. Ruszyliśmy na marszobiegi w stronę Orłowa. Biegał nawet niezle. W czasie zaprawy czułem satysfakcję, byłem znacznie lepiej wygimnastykowany. Robiłem typową, ogólnorozwojową zaprawę bokserką. Nie spodziewanie szybko jego ruchy stawały się ospałe, wyraźnie puchł i ledwo starczało mu siły, by biec.

- Teraz umyj się w ciepłej wodzie, potem dobre śniadanko i o dziesiątej na korcie – wydałem dyspozycję.

O dziwo na korcie grał świetnie. Na punkty dołożył mi z nawiązką, rewanżując się za złą dyspozycję na marszobiegu. Trenowaliśmy różne warianty zagrań: przebijaliśmy forhend po krosie, potem backhand, wystawiałem wysokie loby, które „zabijał” smeczem^[5]. Zakończyliśmy, ponownie ośmieszając mnie grą na punkty.

Na korcie byłem od niego znacznie gorszy. To przeszkadzało. Odwrotnie bywało na obozach bokserkich, tam wchodzący ze mną do ringu juniorzy czuli respekt. Kiedy któryś próbował kozaczyć, dostawał plombę i najwyżej przez chwilę był obrażony. Tu nie potrafiłem niczego Bociowi sugerować autorytatywnym tonem.

Działo się źle. Mój program przekwalifikowania się na trenera tenisowego kruszył się z prostej przyczyny: w tenisie byłem za słaby. Po kilku dniach wstydzilem się narzucać cokolwiek. Popołudniami Jacek trenował za centralnymi kortami w gronie klubowych kolegów, a ja – przeprosilem się ze ścianą i objąłem ją bezlitośnie. I tak Boć robił mi łaskę, bo przed południem wychodził ze mną na kort. Zgodził się też na kilka wspólnych marszobiegów. Kiedy odbijaliśmy na korcie, skupiałem się, by samemu zaskoczyć go jakimś zagranieniem. Kiedy rzadko mi się udawało, zatrzymywał grę i patrzył na mnie z pobłażliwym uśmiechem, jak na urwisa, który coś przeszkrobał. Jego tenisowe fajerwerki wzbudzały już tylko moją złość. Kwitował je okrzykami.

- No doskonale panie Jacku! Aaaale krosik z backhandu[6]. No, dosłownie, paluszki lizać.

Używając żargonu bokserskiego: „robił ze mnie wiatrak”.

Gdy bardzo rzadko zmuszałem go do kapitulacji, zamiast mnie pochwalić, oskarżał się o niedołęstwo.

- No, żeby to ja dał się ograć jak ostatni frajer. – Kiwał z niedowierzaniem głową, jakby nagle stał się świadkiem cudu.

Niezbyt chętnie zachodziłem do klubowej rezydencji. Ten przedwojenny budynek, znamionujący solidną poniemiecką architekturę, typową dla sopockich pensjonatów, był miejscem pracy starszego pana, trenera Korneluka, twórcy kuźni tenisowych talentów. Sopoccy juniorzy zdobywali w tym i kilku poprzednich sezonach drużynowe mistrzostwa Polski. Kiedy Korneluk przenikliwie mi się przyglądał, na jego twarzy błąkał się kpiący uśmiezek. Niezbyt jasno docierało do mnie, że ten człowiek wyczuwa mój życiowy impas, a moje zapalczywe miotanie się po korcie, ocenia jako nieprzydatne.

Raz, wychodząc z klubowej kawiarni i kręcąc się po holu, oglądałem reklamowe afisze. Jacek z kilkoma zawodnikami stał i słuchał trenera, omawiającego najbliższe plany treningowe. Postanowiłem na niego zaczekać. Miałem przy sobie jak zwykle torbę z rącznikiem, tenisówkami, zwiniętą dresową bluzą oraz rakieta.

- No, a pan, kiedy wystartuje? – Usłyszałem ironiczny głos trenera.

Trochę się zmieszałem. Akuratnie czytałem rankingową listę klubowych juniorów. Wśród dwudziestu nazwisk, Jacka odnalazłem na osiemnastej pozycji. Był jednym z najgorszych.

- Ja wystartuję? – odpowiedziałem ze zdziwioną miną. – Nie bardzo mam w jakiej kategorii. Ci – pokazałem na stojących z Jackiem juniorów. – Są dla mnie za mocni. No, chyba że zorganizujecie turniej dla amatorów.

Koledzy Bocia spojrzeli na mnie nawet życzliwie, choć jeden z nich zadrwił.

- Pan trenuje z Bociem, to forma powinna rosnać, że hej.

- Jego tu wszyscy leją – dodał inny.

Żał mi się zrobiło treningowego partnera. Stał z boku i nie potrafił się odciąć. Najwyraźniej był pogodzony ze swoim przeciętniactwem. Usiadł skurczony na kawiarnianym krzeselku, oparł łokcie na rozchylonych kolanach.

Zaczynało puchnąć opowiadanie o krótkiej tenisowej karierze Bixa – przyszłego kryminalisty. Kiedy siedziałem w Ulu na półpiętrze i wyjmowałem brulion z długopisem, kelnerka nie czekając na przyjęcie zamówienia, stawiała przede mną filiżankę z kawą i szarlotkę. Chyba obserwując mnie, tworzącego z pasją opowiadanie, udzielał się jej mój coraz lepszy nastrój. Podchodziła z uprzejmym uśmiechem, a ja odbierałem to jako rodzaj hołdu składanego człowiekowi pióra.

- Z czego ty będziesz żył? – zapytała zatroskana ciocia, kiedy przeczytałem jej skąpe jeszcze kawałki opowiadania o schodzącym na złą drogę początkującym kryminaliście.

Obawiając się, że cinkciarstwo potraktuje podobnie do warszawskiej ciotki – siódmej wody po kisielu – nie próbowałem zasłaniać się argumentem o zarabianiu na chleb wymianianiem waluty. W Sopocie, mimo że ten najmodniejszy polski kurort ściągał wielu turystów z za żelaznej kurtyny, możliwości cynkowania[7], wcale nie wyglądały na łatwe. Zresztą z zarobkowej ciekawości, zaszedłem parę razy do kawiarni przy Grand Hotelu. Od razu zauważyłem paru elegantów o chamskich pyskach, siedzących przy wodzie mineralnej. Bez wątplenia byli milicyjnymi albo esbeckimi tajnikami. Teren był trefny.

Na pytanie o zarabianie pieniędzy, odpowiadałem cioci wykrętnie. Domyślałem się, że zarabianie pisaniem książek, nie będzie łatwe. Zresztą rozpoczęte opowiadanie, bynajmniej nie stanowiło imponującego dorobku.

Ponizenia, jakie spotkały Bocia, poruszyły mną i to wcale nie z powodu żywionej do niego sympatii. Nic podobnego. Byłem przejęty samym sobą. Zwątpiłem w sens rozwijania tenisowych umiejętności. „Przecież jak to”? – docierały ponure myśli. „Ten chłopak trenuje tenis wyczynowo” – tego mu właściwie zazdrościłem. „Przy jego umiejętnościach na pewno grałbym w drużynie. Miałbym zapewniony byt materialny. Mógłbym sobie pisać i nikt nie miałby o to pretensji” – rozważałem. „Tymczasem, on znacznie lepszy ode mnie w tenisie, w klubie zupełnie się nie liczy”?

- Chciałbym cię zaprosić na kawę. Chcę z tobą porozmawiać – powiedziałem, do Jacka, gdy po treningu opuszczał korty.

Oczywiście wmówiłem sobie, że chcę chłopakowi pomóc. Nie raz słyszałem, że trenerzy, wnikając w osobiste problemy podopiecznych – pomagając je rozwiązać – ułatwiają osiągnięcie formy. Byłem o sześć lat starszy od Jacka i uważałem siebie za doświadczonego życiowo (O ironio!). Trochę zdziwiony siedemnastolatek (ciągle go zadziwiałem) przystał na propozycję. Wieczorem spotkaliśmy się na deptaku. Już wcześniej zapadał zmierzch, zrobiło się chłodniej. Na środku Monciaka nie było już stolika, przy którym rozpoznałem Witka Wielgosza. Podmuchy wiatru popychały porzuconą gazetę. Wśród wyelegantowanych, ostatnich mijanych letników, Jacek mimo słusznej sylwetki prezentował się niepozornie. Jak co dzień, żeby dodać sobie przekonania, że poza tenisową marnością jestem kimś jeszcze, w kieszeni bluzy miałem wymiętoszony brulion z długopisem.

Odżyło we mnie pragnienie, żeby Boć znacząco podniósł swoją lokatę w klubowym rankingu. Do rozpoczęcia turnieju pozostał tydzień. Chciałem, rozmową w kawiarni zmotywować go do intensywniejszego treningu. Własne doświadczenia podpowiadały, że przy odpowiednim zaangażowaniu woli można trenować efektywniej i to bez ryzyka przetrenowania się. Tam w kawiarni czułem się dość pewnie, byłem przekonany, że tu moje słowa będą miały mocniejszą wymowę. W Złotym Ulu było gwarnie, prawie wszystkie stoliki były zajęte.

- Co Jacek, gdzie usiądziemy. Może koło tej ładnej pani? – mówiłem głośno i swobodnie.

Byłem w dobrym humorze.

Raptem pożałowałem, że go tu przyciągnąłem. Widziałem, że czuł się jak zaszczuty pies. Nerwowo rozczytywał się na boki, jakby miał ochotę rzucić się do ucieczki. Dotarło do mnie, że mam pewnie stracony wieczór.

Wolny stolik znaleźliśmy na półpięterku, w lubianej przeze mnie wnęce. Obok siedziało wesołe towarzystwo rówieśników Jacka, usiadł do nich tyłem. Chciałem, żeby opowiedział mi więcej o sobie. Jednak był w stosunku do mnie nieufny, wyrosła między nami niewidzialna bariera. Nie wiedziałem jak rozpocząć rozmowę. Starannie dobierając słowa, zacząłem opowiadać o sobie. Mówiłem, jak to studio wałem, ale największą satysfakcję czerpałem z uprawiania boksu. Wreszcie zobaczyłem, że Boć zaczyna się interesować, tym co mówię. Wyrzuciłem z siebie, że uczę się pisarstwa. Na poparcie słów wyciągnąłem brulion. Między pokreślonymi wyrazami znalazłem parę zgrabniejszych zdań, przeczytałem mu fragment opowiadania o Bixie.

- Wiesz stary, to mi się podoba – powiedział podnieconym głosem.

Zobaczyłem wpatrzone w siebie z podziwem oczy.

Ożywiony kawą, zachłysnąłem się samym sobą i nieświadomie, zamieniłem rozmowę „trenera z podopiecznym” na wieczór autorski przed podziwiającym mnie młokosem. Do głosu dopuszczałem go sporadycznie. Wreszcie i on mnie zaciekawił. Mówił o rodzicu, który się nie przyznawał do bycia jego ojcem. Kilka lat temu zniknął z domu.

- Spotkałem go raz w Gdyni, chyba zrobił plastyczną operację – powiedział z przejęciem. – Kiedy go zapytałem, dlaczego zostawił mamę – Jacek przysunął się bliżej, żeby nikt nie usłyszał. – Powiedział do mnie: Spierdalaj bękartie – nie jesteś moim synem...

Mówił jeszcze o swoim sportowym życiu. Zachęcony przez trenera Korneluka, twierdzącego, że gra w hokeja pomaga rozwijać tenisowe umiejętności, w zimie jeździł na treningi hokejowe do klubu Gdańsk – Wybrzeże, do Oliwy. Miał ponadto dziewczynę z dobrego domu i bardzo chciał iść do wieczorówki, by po zdaniu matury „zyskać aprobatę w oczach jej rodziców”.

Poranne treningi ze mną wznowił, chyba bardziej przez szacunek dla mojej „pisarskiej osobowości”, niż wierząc w ich sportową przydatność. Trzeciego dnia przyszedł na korty bez rakiety.

- Wiesz, muszę jechać, załatwiać sobie pracę. Dzisiaj nie mogę trenować – powiedział na powitanie. – Zresztą... - dodał zgaszonym głosem. – Ja już nie mam żadnej szansy.

- Jak to? – zdziwiłem się.

- W pierwszej rundzie wylosowałem Mawrockiego.

- On taki dobry? – zapytałem.

- Nie wiesz? Przecież czytałeś listę rankingową. On jest na pierwszym miejscu, Aktualny vice mistrz Polski juniorów.

- Nie mam z nim żadnej szansy – powtórzył.

- Chyba żebyś bardzo dobrze zagrał – tym razem ja odezwałem się bez przekonania.

Zdałem sobie sprawę, że obóz z Bociem stracił sens.

Inspiracja do trenerskiego przebłyску

Poczułem nawet ulgę, miałem przed sobą wolny dzień. Przyszło mi do głowy, żeby się spakować i wyruszyć do stolicy. Zapragnąłem znaleźć się blisko pięknej Warszawianki, całując czuć jej kształtne ciało, wreszcie ją posiąść. W ostatnim liście, kiedy już byłem rozpędzony z pisaniem o Bixie, wspomniałem, że tworzę utwór literacki. Ciekaw byłem, czy się jej spodoba. Jednak pomysł wyjazdu uznałem za pochopny. „Najpierw muszę mieć całość przepisaną na maszynie”.

Torbę z rakiętą zaniósłem do tenisowego klubu. Barmanka zgodziła się, żebym zostawił ją na półtora godziny w kawiarni za bufetem. Pobiegłem wzdłuż plaży, znaną sobie trasą do Orłowa, czasem zwalniałem bieg i przechodziłem do typowej zaprawy bokserskiej. Po trzech tygodniach treningów z Bociem kipiłem energią. W nogach czułem moc, która wyrzucała mnie swobodnie w górę, kiedy ćwiczyłem na przemian dosiężne wyskoki z prawej i lewej nogi. W marszu wykonywałem skręty, potem skoki obunóż, tak zwane żabki. Kiedy biegłem, głąskały mnie orzeźwiający powiewy wiatru. Szumiało morze, a ja z radością przeskakiwałem zakola fal, z szumem wsiąkających do wilgotnego piasku. Było ciepło i mocno świeciło słońce. Lato najwyraźniej zakpiło z kalendarza, postanowiło w ten pierwszy dzień jesieni, odegrać się za przedwcześnie chłodny tydzień z początku września. Jednak był to kaprys aury, czaiła się już jesień. Od strony łądu obfitą ścianę drzew i krzewów pokrywała coraz to barwniejsza gama liści, przygotowujących się do opadania. Za orłowskim mołem, po przebiegnięciu jeszcze kawałka zwężającej się plaży, pokrytej coraz liczniejszymi kamieniami, dotarłem do podmytego falami wysokiego urwiska. Dobiegałem tu kilkakrotnie wiosną i na początku lata, w czasie samotnych marszobiegów. Byłem wtedy przybity życiową klęską. Nawyk treningowego wysiłku, odpompowując krew z mózgu do mięśni, przynosił ulgę i pomagał zapomnieć, że stałem się jednostką społeczną oraz zakalą rodziny. Tu było mnóstwo kamieni, różnych rozmiarów. Jedne rzucałem techniką dyskobola, inne wypychałem jak miotacz kulą. Posyłałem też do wody pokaźne okrągłaki znad głowy. Jak piłkarz wykonujący zagranie z autu. Takie ćwiczenia robiłem od lat jako pięściarz żelazną kulą i piłkami lekarskimi, dzięki nim znacząco wzmocniłem siłę ciosów. Wracając, wziąłem do ręki tenisówki i miejscami biegłem po wodzie. Na łagodnym cyplu, gdzieś na wysokości Kamiennego Potoku, rozejrzałem się do tyłu i przodu. Plaża była pusta. Zrzuciłem z siebie ochlapaną podkoszulkę i spodenki. Nago wskoczyłem do wody. Wydawała się krystalicznie przezroczysta i ciepła. Popływałem dobrych kilka minut i... zapamiętałem tę kąpiel jako najprzyjemniejszą w życiu.

Wczesnym popołudniem, siedząc na tarasie mieszczącej się u nasady sopockiego mola kawiarni Fregata, przeglądałem ponad połowę zapisanego brulionu. Zaniepokoiłem się, czy w gmatwaniu skreśleń, gryzmołów i poprawek, połapie się jakaś maszynistka? Gotowe kawałki tekstu otoczyłem czerwonym długopisem i ponumerowałem.

- Ale to pokreślone – krytycznie oceniła rękopis sekretarka z księgowości sopockiego zakładu kąpielowego.

Nie podjęła się przepisywania moich wypocin. Poleciała mi emerytkę dorabiającą pisaniem na maszynie.

- Ta pani ma czas, może wspólnie z panem jakoś to poskładacie.

Następne dwa dni trenowałem rankami na ścianie i zaliczyłem kolejny marszobieg do Orłowa. Wiele godzin spędziłem w skromnym mieszkaniu starszej kobiety, której zobowiązałem się zapłacić po pięć złotych od strony. Nie była polonistką, ale jako osoba odczytana znalazła w opowiadaniu pełno błędów. Poczulem się nietęgo, przybyło nowych skreśleń, rękopis prezentował się okropnie. Wreszcie, po wielu godzinach przepisywania gryzmołów, usłyszałem upragnioną opinię.

- Treść jest zajmująca, ale czy muszą być te wulgaryzmy? – zapytała, wyjmując spomiędzy stron maszynową kalkę.

Zgodziłem się na częściowe wykropkowania.

Ela Kaczyńska ani moja ciocia nie miał telefonów (w tamtych czasach tylko niewielu je posiadało), więc zamówiłem rozmowę awizo. Chciałem się porozumieć, ustalić szczegóły wyjazdu do Warszawy i spotkania. Siedziałem długo na poczcie, wreszcie zrezygnowałem z czekania. Nie stawiała się, mimo podobno dostarczonego wezwania. „Może już znalazła kogoś innego”?

Jacka Bocia spotkałem po trzech dniach, od chwili rozstania. Szedłem w stronę treningowej ściany w kiepskim nastroju, on był podekscytowany.

- Wiesz? Gram dzisiaj z Mawrockim na trzecim korcie o szesnastej. Przyjdź pokibicować.

O czwartej chciałem potrenować na ścianie. „Ale, co mi tam...” – pomyślałem. „Najwyżej stracę godzinę. W końcu zobaczę jaki efekt dały parutygodniowe złudzenia” – rozważałem.

Nie przyłożyłem się do treningu. Rutynowo odwaliłem ostrzeliwanie piłką podniszczonego gdzieś, pokrytego zieloną farbą muru. Nastrój poprawiło mi wręczone przez ciotkę wezwanie na rozmowę awizo. „Nie mogła przyjść, chyba mam u niej szanse. Więc coś jej musiało wypaść”. Na pocztę miałem się stawić o siedemnastej trzydzieści. Ogarnęły mnie jednak wątpliwości. „Może chce mi powiedzieć, że nasz związek nie ma sensu”?

Tego popołudnia szedłem na korty z niechęcią. Wpadało, skoro obiecałem Jackowi. Wiedziałem jednak, że klęska, jakiej będę świadkiem, jeszcze bardziej popsuje mi nastrój. Ponadto irytował mnie Mawrocki. Nie lubiłem tego asa juniorów, wydawał się zarozumiały. Na korty przychodził jak wzorowy urzędnik do pracy. Zawsze w stalowoszarym garniturze, ostrzyżony jakby codziennie chodził do fryzjera, a twarz miał dojrzałą jak czterdziestolatek. Jedyнным akcentem w jego ubiorze, mogącym świadczyć, że jest sportowcem, była niepasująca do garnituru, zawsze tak samo biała koszulka polo. Jej kołnierzyk opinał mocny jak u zapaśnika, byczy kark. Sprzęt przeważnie nosił w plastikowej torbie, przypominającej rodzaj worka na zakupy.

W tych dniach w Sopocie odbywał się czwórmech ligowy o mistrzostwo ekstraklasy. Grały ze sobą

drużyny: SKT Sopot, MZKS Gdynia, Baildon – Katowice, Warta Poznań. Na centralnych kortach⁸ rozgrywano najciekawsze pojedynki. W pierwszej lidze poziom był wysoki. Z pasją oglądałem pojedynki polskich wyczynowców. Szczególnie podobał mi się młody Andrzejewski z sopockiego klubu. Prezentował tenis bardzo ofensywny. Sam usiłowałem grać top spiny z forhendu i backhandu. Piłka tak uderzona wirowała do przodu i spadając na powierzchnię kortu, przyspieszała. To utrudniało odbijanie jej przeciwnikom. Idealnie – w moim odczuciu – te zagrania miał opanowane Jerzy Andrzejewski. Mierzył przynajmniej metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, miał potężnie rozrośnięte bary, przy czym jego szczupła sylwetka potwierdzała sprawność i kondycję. Top spiny uderzane z rzadko spotykaną swobodą, były tak dynamiczne, że trafiona piłka wydawała huk, jaki zwykle było słychać przy zabijaniu zagrania smeczem. Był na pewno utalentowanym tenisistą i mimo dwudziestu lat, zajmował już piąte miejsce w polskim rankingu seniorów. Zdumiewało mnie z jaką łatwością „roznosił” przeciwników z Baildonu, czy MZKSu. „Czemu jeszcze nie jest najlepszy w Polsce”? Nie widziałem wtedy zawodnika, który prezentowałby na korcie takie możliwości. Byłem przekonany, że zdobycie tytułu najlepszego tenisisty w kraju pozostaje kwestią niedługiego czasu.

Zdziwiło mnie niezwykle poruszenie wokół kortów. W kierunku furtki, prowadzącej na trybuny kortów centralnych^[8], tłoczyli się tenisowi kibice. Bileter z zieloną opaską na rękawie przedzierał bilety. Zbliżyłem się do tablicy ogłoszeń. Tam na kartonie, wypisywano czerwonym flamastrem anonse o godzinach i nazwiskach walczących w czwórmeczu zawodnikach.

Godzina 16.00 singiel **Jerzy Andrzejewski** SKT Sopot – **Wiesław Gąsiorek** Warta Poznań.

„No jasne, stąd podniecenie sopockich kibiców”. Aktualny dwunastokrotny mistrz Polski, weteran międzynarodowych występów na kortach europejskich, miał stanąć na drodze młodemu bombardierowi, ulubieńcowi i nadziei lokalnej publiczności. W powietrzu unosiła się nadzieja na sensację. Także mi udzieliło się podniecenie Sopocian. Spadł mi z serca ciężar. Znalazłem wytłumaczenie, by nie pójść na mecz Bocia. Z absencji na spektaklu, rozcierania na papkę Jacka przez Mawrockiego, łatwo się wytłumaczyć. Teraz zobaczę tenis na najwyższym poziomie.

Trybuny na centralnym korcie były pełne. Z trudem wepchnąłem się między kibiców. Nagle umilkły szmery rozmów. Energicznie pchnięte skrzydła zielonej furtki, zawieszona na sprężynowych zawiasach, miarowo się kolebały. Na ceglanej mączce nawierzchni kortu, jak posąg stał Andrzejewski. Odziany w jaskrawo niebieski dres, mile kontrastujący ze śnieżną bielą kołnierzyka koszulki prezentował się wspaniale. Uroku tenisistę dodawała smągła opalona twarz, ozdobiona ciemnoblond czupryną pojaśniałą od słońca. Reprezentant Sopotu stanowił chodzącą reklamę doskonałości, człowieka uformowanego przez tenis. Jeszcze odwrócił się w stronę mówiącego coś z ganku Korneluka i pokiwał głową. W ręce trzymał trzy nowe rakiety Slazenger (marzyłem o takiej jednej) i świecący czystością barw ręcznik. Gdy ruszył w stronę sędziowskiego podwyższenia, zatrzepotały pierwsze brawa, za chwilę rozpętała się ich ogłuszająca burza. Spontanicznie nagradzano idącego sprężystym krokiem pupila. Składano mu hołd choćby za to, że emanującym mocą wyglądem potwierdza oczekiwane w tłumie wyobrażenie o pogromcy mistrza.

- No, nasz mistrz skopie wreszcie dupę poznańskiej pyrze. Pokaże utytułowanemu zgredowi, gdzie jego miejsce – odezwał się basem otyły piwosz, odginający scyzorykiem kapslę gdańskiego fula.

Nikt się nie ośmielił kwestionować tej wypowiedzi.

- Lej Andrzej mistrza! – rozdarł się chudy narwaniec, siedzący obok piwosza.

Podpity chudzielec, będąc chyba pierwszy raz na meczu tenisowym, rzucił hasło, uchodzące za dobry ton na trybunach piłkarskich.

- Ciszej Lulek. Nie jesteśmy na boksie – rzucił uwagę lepiej wyrobiony kibic.

Piwosz zerknął na pijanego Lulka z sympatią.

Przycichły brawa i ucichł gwar. Wraz z sędzią, odzianym z okazji meczu w marynarkę i koszulę z krawatem, wyłonił się Wiesław Gąsiorek. Utytułowany jak żaden polski tenisista, uznany za niepokonanego w kraju, ustępował Andrzejewskiemu warunkami fizycznymi. Wprawdzie nie dorównywał przeciwnikowi wzrostem i nie miał tak rozrośniętych barków, jednak przykuł uwagę kibiców. Sylwetkę mistrza okrywał czerwony dres, ozdobiony srebrzystym wąskim szlaczkiem, na rękawach i lampasach spodni. Nikt w Polsce nie widział tak wysokiej jakości sportowego ubioru, jak i tenisówek o dodatkowej warstwie podeszwy. Do tego wielokrotny mistrz Polski niósł naręcze pięciu nowych rakiet, na których czerwonych pokrowcach, widniały firmowe napisy *Dunlop*. Nieistotne, że weteran kortów plasował się na odległym miejscu w światowym rankingu. Czasem w sportowej prasie pisano, że przeszedł rundę na turnieju w którejś z europejskich stolic. Zdarzało mu się dochodzić do ćwierćfinałów zawodowych turniejów. Był jedynym polskim tenisistą jeżdżącym po Europie zachodniej i zarabiającym dewizy, a potwierdzał to jego nieosiągalny w rządzonej przez komunistów Polsce, ubiór i sprzęt.

Cmoknęła, otwierana przez sędziego, hermetycznie zamykana puszka piłek Slazenger (Jako towar kupiony za twardą walutę, nie do nabycia w sportowych sklepach). Zaczęła się rozgrzewka i już po chwili publiczność odetchnęła z ulgą. Andrzejewski od razu rozpoczął bombardowanie top spinowymi grzmiąciami. Było widać, że mistrz zmusza się do maksymalnej koncentracji, żeby odgrywać w stronę młodzieńca. Ledwo odbijając jedno z hukniętych przez Andrzejewskiego uderzeń, piłkę posłał na drugą stronę wysokim obronnym lobem. Młody przeciwnik spacerowym krokiem zbliżył się do wolno spadającej piłki. Z zamachem trzaśnięty smecz, strzelił jak rozrywająca się petarda. Gąsiorek wykonał bok-serski unik. Odbita piłka od pola kortu śmignęła koło ucha mistrza. Zaszemrała publiczność.

- Brawo Andrzej! – ktoś wyraził uznanie.

O dziwo mistrz lekko się uśmiechnął jakby z odcieniem ironii. Po trwającej jeszcze chwilę rozgrzewce sędzia odezwał się do mikrofonu.

- Piłka ważna, podaje Andrzejewski.

Już wiosną próbowałem naśladować, płynny, niby od niechcienia wykonany podrzut piłki i wygięcie ciała z półprzysiadem, jaki podpatrzyłem u trenującego na centralnym korcie miejscowego championa. Teraz usłyszałem świst rakiety i huk jakby wystrzału. Nie zawsze słynna „atomowa” bomba wchodziła w pole serwisowe. Jednak w pierwszym serwisowym gemie Sopocianin nie dał mistrzowi szans. W trakcie zmiany stron rozległa się owacja na stojąco. W drugim gemie Andrzejewski omal nie przełamał mistrza, prowadził czterdzieści do piętnastu. To miał być punkt dający wynik dwa do zera. Rozpalona emocjami tłuszcza wrzaskliwie dopingowała swą nadzieję, gdy coś pękło...

Strzelona przez ulubieńca Sopocian piłka szurnęła blisko linii, na moje oko poza kortem. Zaległa cisza. Sędzia się zawahał. Gąsiorek wyraźny ślad zarysował główką rakiety.

- Dwa zero, panie sędzio – zagrzmiął pewny głos Andrzejewskiego. – Proszę piłki – dodał.

Zakłopotany sędzia zszedł z podwyższenia i podbiegł do śladu. Widocznemu miejscu uderzenia piłki przyglądał się z paru stron. Wreszcie, nie chcąc się sprzeciwić żadnemu sensacji tłumowi, zarządził powtórzenie zagrania.

- Jak to? – zdziwiła się nadzieja sopockiego sportu. Tymczasem weteran z wyrozumiałym uśmiechem przystał na najprawdopodobniej krzywdzącą go decyzję.

Andrzejewski dreptał w miejscu, ze złością strzepnął rakieta z butów ceglana mączkę. Było piętnaście czterdzieści, czyli graczowi z Sopot brakowało jednej wygranej piłki do zdobycia drugiego gema.

- Proszę grać! – upomniął go zdenerwowany sędzia. – Serwuje Gąsiorek.

Mistrz weteran zaserwował dwa asy, doprowadzając do równowagi. Jednak Andrzejewski zaryzykował wyrzucenie piłki. Potężnym strzałem, ponownie doprowadził do swojej przewagi. Znowu zabrzmiały brawa rozentuzjasmowanej publiczności. W następnej zagrywce zepchnięty do defensywy mistrz, ratował się obronnym lobem. To był mistrzowski lob. Pod niebo zagraną piłkę, Andrzejewski początkowo ocenił jako autową. Lecz z chwilą gdy pacnęła w końcową linię, wszedł pod odbitą od ziemi piłeczkę i złożył się do potężnego smecza.

- Trach!!! – rozległ się kolejny wystrzał.

Piłka wyleciała na metrowy aut. Niefortunny sprawca błędu rzucił rakieta o ziemię.

Oszczędzę czytelnikom dokładnego opisu: „co dalej”. Ulubieniec publiczności stał się karykaturą tenisowych walorów. Coraz mniej dokładne bombardowanie, którym tracił punkty, kwitował okrzykami rozpaczy.

- To niemożliwe! Jak mogłem! – krzyknął, kiedy „atomowy” serwis umieścił w żywo płocie.

Ruszając do rozpaczliwych ataków, nadziewał się na precyzyjnie mijające go kontry. Raz po przegranym gemie, podchodząc do stojącego ze skwaszoną miną Korneluka, odezwał się płaczącym głosem.

- Niech pan powie, co mam grać? Przecież ten emeryt posuwa mnie jak pedał w stolcową kiszkę.

Część kibiców zarechotała. Nie obyło się bez zgryźliwego komentarza.

- To nie nastawiaj mu cwelu koperty! – ktoś krzyknął.

Widownia kibicowała już tylko weteranowi. Gdy sędzia ogłosił wynik: sześć jeden, sześć zero stało się oczywiste, że Andrzejewski to jeszcze pęta, a Gąsiorek jest prawdziwym mistrzem.

Nie do końca uświadamiając sobie, czym natchniony, spieszyłem się gorączkowo na mecz Bocia. Spojrzałem na zegarek, do zamówionej rozmowy telefonicznej z Kaczyńską, miałem pół godziny. „Chyba zdążę”. Rozpychając się przez tłumek kibiców, pędziłem w odwrotną stronę od opuszczających trybuny Sopocian. Po charakterystycznych odgłosach, przypominających rozbijanie nadmuchanych papierowych torebek, wiedziałem, że na trzecim korcie toczy się gra.

- Ooo, Jezu! Co ja zrobiłem!? – usłyszałem zawodzącego Jacka.

„Dostaje baty, co było do przewidzenia”. Wchodząc na kort, zobaczyłem, że gra toczy się bez sędziego, co było wbrew wymogom wewnątrz klubowego turnieju. Dokonywała się czcza formalność. Żadnemu z kolegów nie chciało się sędziować tego meczu „na jedną bramkę”. Nikt poza mną nie był tym meczem zainteresowany. Jacek, kiedy mnie ujrzał, trochę się zmieszał. Właśnie zmierzał do ławeczki, by odpocząć przy zmienianiu stron.

- Jaki wynik? – zapytałem.

- Cztery jeden dla niego w drugim secie. Pierwszego też przegrałem.

Mój podopieczny usiadł na ławeczce i zaczął się wycierać ręcznikiem. – Usiądź na chwilę – pokazał mi koło siebie wolne miejsce.

Mawrocki przetarł jedynie czoło z potu. Oparł się o schodki prowadzące na krzesło sędziowskie i na Jacka spojrzał z ironią.

- Robisz sobie jaja? Graj już Boć. Będziesz robił teraz przerwy na pogaduszki? – Vice mistrz Polski juniorów wyraźnie tracił cierpliwość. Na pewno był zdenerwowany, że ktoś pyta o wynik j e g o meczu, przeciwko miernocie, za jaką uchodził mój tenisowy partner.

Boć powoli się podniósł i dziwnie na mnie spojrzał.

- Jeszcze nie przegrałeś – powiedziałem, sam zaskoczony pewnością swego głosu.

Jeszcze bardziej zdziwioną minę miał Jacek. – Nie grasz o złote kalesony, ale coś graj – dodałem.

Zaczął grać bardzo dobrze. Solidnym uderzeniem Mawrockiego przeciwstawił błyskotliwość, zaskakujące krosy i determinację w bieganiu po korcie. W myślach grałem razem z Jackiem. Kiedy widziałem, że z trudem dobiega do piłki, czując zagrożenie utraty punktu, wołałem:

- Jacek, spokój. – I udawał się obronny lob.

Dziwiłem się, bo wielokrotnie zagrania Jacka zaskakiwały mnie pomysłowością. Przewaga Mawrockiego topniała. Boć wyrównał stan drugiego seta: było cztery do czterech. Za siatką sapał wściekły faworyt.

- Brawo Jacek! – krzyknąłem, klaszcząc.

Vice mistrz Polski wbił we mnie nienawistne spojrzenie. Poczulem się zażenowany. Wiedziałem, że podpowiadanie w czasie gry jest niedozwolone. Zamilkłem. Pierwszą piłkę w następnym gemie Jacek przegrał.

- Ojejej – zajęczał.

Kiedy zaskakującym krosem z backhandu wygrał kolejne zagranie, skwitował je głośnym.

- No tak, brawo, brawo – sam się pochwalił.

Teraz zaczął ponownie komentować każde swoje zagranie, a że były to przegrane piłki, głośno pojękiwał. Przypomniało mi się zachowanie nadziei sopockiego tenisa Andrzejewskiego. Tak zrażał do siebie, przychylnych początkowo kibiców.

- Pięć cztery – rozległ się głos Mawrockiego, kierującego się do ławeczki po drugiej stronie sędziowskiego podwyższenia.

- Co się stało? Grałem tak dobrze – głośno żalił się Boć.

Spojrzałem na zegarek. „Matko Boska”! – przeraziłem się. Wskazówka zbliżała się do wpół do szóstej. „Nie mam szans, żeby zdążyć na rozmowę z Elą”. Byłem zdruzgotany, na pocztę mogłem dobiec najprędzej za dziesięć minut. Ruszyłem niepewnie w stronę trybun, za nimi było wyjście. Jeszcze się zatrzymałem.

- Musisz się uspokoić, skoncentrować na grze – mówiłem bez przekonania wytarte slogany.

Bardziej, żeby coś powiedzieć, niż z wiarą, że to ma być recepta na utytułowanego przeciwnika. W istocie nie lubiłem u Jacka tych głupich pokrzykiwań, nie raz czułem się nimi dotknięty, chyba w głębi duszy już życzyłem mu, żeby przegrał.

Raptem zobaczyłem rozwścieczonego Mawrockiego, ruszającego w moją stronę.

- Co, sekundant?! – ryknął, kipiąc nienawiścią.

Dygotał jak galareta. Był mocniej ode mnie zbudowany i muszę się przyznać, w tym momencie się go wystraszyłem.

- Możesz zaraz wyfrunąć z tych kortów – zagroził.

W duchu przyznawałem mu rację. Przepisy nie zezwalały na podpowiadanie w czasie gry. Byłem na siebie zły, podwójnie zły. Zawaliłem telefoniczną rozmowę z dziewczyną, na której mi bardzo zależało. Do tego dałem się obsztorcować gówniarzowi i co najgorsze, słusznie.

- Idę – powiedziałem do Bocia i chcąc się odegrać Mawrockiemu za skierowaną do mnie agresję, uśmiechnąłem się do towarzysza wspólnych treningów i podniosłem do góry kciuka.

Ruszyłem w stronę treningowej ściany. Słońce zniżało się ku zachodowi. Pomyślałem, że rano wyślę do Kaczyńskiej telegram. „Ona też zrobiła mnie w balona”. Wymyślę, pewnie jak ona, wykrętny powód nieobecności na poczcie.

Po chwili odbijania o szeroki treningowy mur stwierdziłem, że żenująco kiepsko ćwiczący „amatorzy”, zrobili mi miejsce, przechodząc na drugą stronę ściany. Obok pozostał starszy ode mnie o parę lat wysportowany mężczyzna. Namówiłem go, by zagrał na korcie. Jeszcze na moment ścisnąłem kciuka za grającego przy centralnych kortach Jacka, chwilę później o nim zapomniałem. Grało mi się bardzo dobrze. Mimo że facet świetnie biegał, rozprowadzałem go z całej siły bitymi top spinami w prawo i w lewo, by w dogodnej sytuacji zaatakować siatkę i zagrać kończącego woleja. Widząc, że ma dość i chce zejść z kortu, uderzałem słabiej. Po oddaniu mu inicjatywy ponownie przyspieszałem i demolowałem go na kor-

cie. W czasie gry z takim amatorem czułem satysfakcję z tenisowych postępów. Zaszło już słońce, robiło się szaro. Ostre powietrze wypełniało mi płuca, kiedy podziękowaliśmy sobie za trening. Dowiedziałem się, że partner służył w spadochronowym desancie. Wtem, wydało mi się, że ktoś krzyczy. Jakbym słyszał swoje imię.

- Kaaazek! – teraz już słyszałem wyraźnie.

Zobaczyłem nadbiegającą wzdłuż płotu sylwetkę. To biegł Jacek Boć. Przed poważnie traktującym mnie facetem poczułem się zakłopotany. Młody tenisista z trudem łapał powietrze.

- Wiesz co... wygrałem z Mawrockim.

Epilog

Dopiero po paru minutach zdałem sobie sprawę, że wydarzyło się coś doniosłego. Boć przełamał psychologiczną barierę. A ja? Zdałem sobie sprawę, że byłem współautorem tej peryferyjnej dla historii tenisa sensacji. Gdyby nie zaprawa, trening i duchowe wsparcie, jakiego mu udzieliłem, na pewno by nie wygrał. Pomyślałem, że kiedyś to opiszę. No i po latach mam to za sobą. Nasunęły się jednak wątpliwości: czy opowiadanie przyciągnie czytelników nie interesujących się tenisem?

Nie ułożyło się między mną, a Elą Kaczyńską. Chyba blond piękność, miała rację, że zrezygnowała z kontaktów ze mną. Piszę od wielu lat i co z tego mam? Zarabiam jako tenisowy trener i grafik, nie jestem zamożnym człowiekiem. Nawet nie wiem, jakie wrażenie zrobiło na niej moje pierwsze opowiadanie o Bixie.

Nie mało czasu upłynęło zanim zostałem pisarzem. Pomogli mi w tym brat (wierny czytelnik i poprawiacz mojej prozy) i kuzynka, była żona zmarłego aktora Łomnickiego. To niej zawdzięczam podstawy wiedzy o warsztacie pisarskim. Jest tłumaczką, dziennikarką i redaktorką i dzięki jej pomocnej dłoni wydałem pierwszą powieść.

Nie potrafiłem stać się koniunkturalnym pismakiem, jak lizo dupy postkomuny typu Urban, albo jej piewcy, jak dawno nie żyjący Putrament. Teraz beneficjentami literackich profitów są najczęściej autorzy relatywizujący minioną totalitarną przeszłość. Nagrody otrzymują pisarze sympatyzujący z Wyborczą, obcy mojemu światopoglądowi.

Specjalizuję się w pisaniu kryminałów historycznych. Zawsze opartych na faktach. Jak powyższe opowiadanie.

A śliczna Kaczyńska? Wyszła za mąż za Włocha i od lat mieszka w Rzymie.

Natomiast u mieszkającego tuż przy kortach Jacka Bocia wynająłem raz w czasie wakacji pokój, nie żyła już moja zacna ciocia. Jacek grał zawodniczo w tenisa jeszcze parę lat.

Jak chcecie – Szanowni Czytelnicy – możecie sobie poczytać debiutanckie opowiadanie, tworzone głównie na pięterku kawiarni Złoty Ul w Sopocie.

Zamieszczam je poniżej.

Tenisowa kariera Jarka Menowskiego

(Jarek Menowski - to Bix, a Alek i Radek – to ja z bratem)

Zanim Jarek zaczął dokonywać rozbojów, ogarnęła go pasja tenisa. Koledzy pokpiwali, że zamieszkał na kortach. Nie przesadzali wiele. Kiedy padał deszcz chłopak przesiadywał na parterowym tarasie, otoczonego bukami i klonami, klubowego domku. Grywał tam w karty, albo dawał upust manualnym uzdolnieniom i udoskonalał otrzymaną z tenisowej sekcji raketę. Polubił pokryty klinkierową dachówką, nieznacznie podniszczony, przez większą część dnia pusty, drewniany domek. Zadaszony taras dawał schronienie przed deszczem a także letnimi upałami. Wnętrze ciepłego stryższku budowli, potwierdzającej cieleski kunszt niemieckich fachowców, parokrotnie dawało mu azyl w czasie nocnych ucieczek z domu.

...Największą radość przynosiła mu jednak gra na korcie. Po trzech latach treningów zaczął uderzać piłkę zdumiewająco mocnym forhandem. Uderzenia tego nie lubili nawet reprezentujący barwy klubu dorośli tenisiści. Od pewnego czasu trener naklaniał ich do gry z obiecującym młokosem. By wzmocnić zagrania, Jarek owijał górną część główki rakiety ołowianym drutem i podwójnymi strunami napinał w krzyż środek naciągu. Kolegom z klubu nie dawał już szans na nawiązanie równorzędnej walki. Raz jego liftowany forhand, do którego z łatwością potrafił się ustawiać, wyrwał z ręki raketę tysemu seniorowi, wywołując gromki śmiech kibicujących kolegów.

- Chcesz smyku to zagraj ze mną seta – zdenerwował się tyśy gracz.

- Już niedługo z panem wygra – dociął tenisiście kolega Jarka.

- Dobrze to poczekam – odpowiedział senior, podnosząc

zawieszony na siatce

ręcznik i opuszczając kort.

- Ja z nim już nie trenuję, panie trenerze – usprawiedliwił się

chwile potem. – Posyłam gówniarzowi wystawkę na forhand, a ten

strzela po rogach, popisując się przed kolegami.

Inni tenisiści także unikali szkolenia młodego zapaleńca. Załamanie kariery Jarka

Menowskiego nastąpiło nagle. Wielkim talentem okrzykiwali go dyletanci, powierzchownie znający się na tej, wymagającej solidnej treningowej pracy, analitycznego myślenia, rutyny i konsekwentnego podnoszenia umiejętności dyscyplinie sportu. Ci zafascynowani byli dynamiką opanowanych przez Jarka uderzeń. Jadąc na mistrzostwa województwa do Wrocławia, jako młodzik, Menowski czuł się faworytem. Po paru grach dotarł do półfinału turnieju. Gładko rozprawił się z rywalami, z pierwszych dwóch rund i ćwierćfinału. Półfinałowy o rok młodszy przeciwnik, na tle jego męskiej sylwetki, wydawał się dzieckiem.

- Co synku wybierasz? - zapytał Menowski po przegraniu losowania.

Patrzył na przeciwnika z ironicznym uśmiechem.

- Stronę - odpowiedział, twardo patrzący mu w oczy chłopiec. Pokazał na kąpiącą się w słońcu część kortu.

Rozgrzewka była popisem forhandowych umiejętności strzeleckich Menowskiego.

- Nawet przyjemnie wystawiasz chłopczyku, ale już grajmy - niecierpliwił się Jarek.

Przy próbach serwisu denerwowało go za długie koncentrowanie się przeciwnika. Usiłował celować po rogach pola serwisowego. O dziwo nienajgorzej trafiał. Zdenerwowało też Jarka, że przed samym rozpoczęciem gry do rywala podszedł siwy pan w białych spodniach i coś mu klarował. Chłopiec z uwagą wysłuchując doradcy pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Co dziadziu w duchy wierzysz? Myślisz, że chłoptaś ma jakieś szanse? – bąknął pod nosem, wywołując chichot dwóch dziewczyn przyglądających się jego zgrabnej sylwetce.

Jarek przegrał w dwóch setach 4/6, 2/6. Zwrotny na nogach chłopiec, wszystkie jego piłki posyłał mu długim półlobem na backhand. Uderzenie z lewej strony było „piętą achillesową” Jarka.

- Nie mogę w to uwierzyć! - rozdarł się po meczu i nie podając zwycięzcy ręki pobiegł do szatni.

Przez tydzień, po powrocie z mistrzostw Jarek nie przychodził na korty. Bracia Koryccy, w tym czasie,

po raz pierwszy zobaczyli go kompletnie pijanego.

Obiektywnie biorąc, osiągnięcie półfinału dla niewiele dotąd ogranego Jarka, było sukcesem. Przedwojenny tenisista, trener szczawieńskiego klubu pod patronatem kopalni „Thorez”, nie spodziewał się po nim lepszego wyniku.

Zupełnie inaczej rzecz się miała w świadomości młodego Menowskiego. Przegraną z mniejszym chłopcem, potraktował jako życiową katastrofę. Cierpiąc w czasie wczesnego dzieciństwa na brak akceptacji u najbliższych, za wszelką cenę chciał nadrobić jej niedosyt. Odcięty od, coraz rzadziej dającej dowody uczuciowej więzi matki, nawarstwiając w sobie żal do nadmiernie pijącego ojca, szukał aprobaty w otoczeniu rówieśników. Dzięki dobrym fizycznym warunkom pole do popisu miał w sporcie. Dość łatwo osiągał dominację wśród rówieśników. Przerzucał się z piłki nożnej na siatkówkę, z koszykówki na palanta i mimo sukcesów - nie znajdował dobitnych dowodów, na utwierdzenie się w przekonaniu o swojej nad nimi przewadze. Najbardziej zazdrościł innym rodziców a w szczególności kochających ich matek.

Kiedyś zagrał sam na jedną bramkę przeciwko Alkowi i Radkowi w piłkę nożną. Popisując się efektywnym dryblingiem wygrał dwadzieścia do dziewięciu. Aż wycierał łzy, zarykując się ze śmiechu na widok kłócących się i wymawiających sobie nawzajem winy braci. Poczucie sukcesu, niecały tydzień potem zdevaluował, inżynier Korycki. Przed furtkę Jarka ogrodu zajechali zadowoleni z siebie Radek z Alkiem na kupionych przez ojca rowerach. Patrzyli na niego dumnie z podwyższenia siodełek, nowiutkich czeskich rowerów półwysięgowych.

Perspektywa tenisowych osiągnięć stworzyła Jarkowi bardziej niż wszystko dotąd namacalną nadzieję. Korty tenisowe były jedynym sportowym obiektem w ich willowej dzielnicy uzdrowiska, mającym bogatego patrona. Na dodatek była nim zamożna kopalnia. O tenisistach „Thoreza” i ich meczach pisano w gazetach. Jarek rozczytywał się o tenisie w pożyczanych lekturach. Fascynował go dziurawiący armatnim serwisem siatki Tilden. Imponowały mu oszałamiające cyfry jego dolarowych kontraktów. Chłonął życiorysy zawodowców: Kramera, Bungera, Rosevala, Santany.

Lokalną repliką poznanych z lektur mistrzów, „gwiazdorem” oglądanym codziennie, był ex mistrz Polski juniorów łysy Pawiński. To jemu, jeden z zaskakujących forhandów Jarka, wytrącił rakietę z ręki. Jarkowi imponował nonszalancki sposób bycia Pawińskiego. Pomimo zaawansowanego procesu łysienia zdawał się nie mieć kompleksów. Obracał się w towarzystwie najładniejszych dziewczyn ze Szczawna. Jego żartobliwe powiedzonka wszystkich rozśmieszały. Działacze z K.S. „Thoreza” sprowadzili Pawińskiego z Sopot aby ich drużyna awansowała do drugiej ligi.

- Ten pasożyt - wypowiedział się kiedyś pijany ojciec Jarka o „gwiazdorze”, potępiając zaangażowanie tenisowe syna - pobiera pensję inżyniera. I co ten gogus jest wart? - Zdenerwował się, bo maniery i elegancję tenisisty porównywano do tej z jaką obnosił się przed laty pomocnik fryzjerski, uwodziciel jego pierwszej żony – matki Jarka.

Bystry młody tenisista, łatwo zorientował się, że u podstaw stanu emocjonalnego ojca istniała zawiść. Gardził nim.

Gdybym wybił się w sporcie, co zdawało się bardziej kuszące od nauki, mogącej mu po wielu latach dać tytuł inżyniera, mógłbym osiągnąć pensję równą Pawińskiemu. Bracia Koryccy oniemieliby widząc mnie na nowej „Jawie”- motocyklu - o którym marzył.

Czasem po udanym treningu, pomny huknięć swojego „lifta”, którym ośmieszał przeciwników, marzeniami sięgał dalej. Rozpatrywał w wyobraźni swą karierę w aspekcie międzynarodowym. Niefortunne mistrzostwa, miały być jak zaplanował, pierwszym szczeblem rozpoczynających się sukcesów. A potwierdzeniem - tytuł mistrza dolnego śląska młodzików .

Pod maską „równiachy”, wyspecjalizowany w zdobywaniu łatwego poklasku kolegów, taił ładunek nagromadzonej w sobie nienawiści do krzywdzącego go losu. Jedyłą szansą wydawało mu się znokautowanie nieprzychylniej rzeczywistości. Te marzenia zgruchotała kontra. Rzetelniejszy kunszt tenisowy drobniejszej postury młodzika.

Niedługo potem, krążący na półwyścigówkach koło kortów Radek z Alkiem byli świadkami niecodziennej awantury: Za chyżo umykającym z tenisowego obiektu Jarkiem wyskoczyła, szybko biegnąca postać masywnie zbudowanego trenera.

- Stój skur...synu! Zatrzymaj się! Zabiję cię ch..u! – darł się sapiąc trzydziestoosmioletni mężczyzna - zasłużony w animowaniu tenisista na poniemieckich kortach. Widząc powiększający się dystans od uciekającego. Zatrzymał się i cisnął połamaną rakietą. Trafił Jarka w plecy.

- Wypie...laj z klubu! - Jesteś gównem, nie tenisistą! – krzyczał

trener nie bacząc na zgorzone miny spacerujących kuracjuszy.

Powodem zajścia był set, w którym trener, by udowodnić młodziakowi jak niezasadny jest jego przerost ambicji, zgromił go sześć do zera. Jarek gwałtownie zareagował na hańbiącą go porażkę, roztrzaskał otrzymaną z klubu rakietę o słupek podtrzymujący siatkę.

[1] Nazywam się Wojtek Fibak, Będę grał z panem pierwszy mecz.

Skąd jesteś.

Z Polski

W tej jaskini gra ktoś w tenisa?

[2] Tanie wino owocowe, zawierające konserwant dwutlenku siarki.

[3] Buty – żargon więzienny.

[4] Potoczna nazwa zamienionej na deptak ulicy Bohaterów Monte Cassino.

[5] Forhand po krosie – zagranie praworęcznego tenisisty, po skosie, przez środek siatki w stronę prawej ręki przeciwnika. Beckhand - zagranie prawą ręką z lewej strony ciała (u praworęcznego tenisisty. Lob –

zagranie piłki wysokim łukiem na pole przeciwnika. Zabijanie piłki smeczem – mocne uderzenie nad głową, podobne do siatkarskiego „ścięcia”.

[6] Zagranie prawo ręcznego tenisisty z lewej strony, na lewą stronę kortu przeciwnika.

[7] Uprawiania cinkciarstwa /żargonowo/.

[8] W tamtym czasie były dwa korty centralne. Po przebudowie trybun zainstalowano jeden.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 12.10.2018 07:23

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.